

SZALEJĄCY HERAKLES.

Były to pierwsze dni maja.

Z nieba spływał na sycylijską ziemię żar.

W oczach ginęła soczysta, upajająca, hyacentalowa zieloność wiosny, Promienie słońca zagryzały milczkiem wszelką florę na zboczach i po ogrodach.

Na czubku Monte Ziretto przed kilku dniami zieleniła się jeszcze kwiecista łąka z bujnych pędów, jak świece rozprostowanych Asfodel. Osypana kroplami rosy, pogrążona w nieustających modłach trzmieli, much i os śmiała się do każdego wędrowca białą pianą rozwartych kiści.

O, radował się, tańczył, wesoło chichotał bożek Pan na tej łące!

Teraz rozciągało się tam pole trupie.

Zzółkłe łodygi i zczerniałe kwiaty miazdzone rozjątrzoną wrokiem słońca bezwładnie zwisały nad ziemią. Dogorywały ropiąc i gnijąc. Wszędzie obnażała się skała.

Wszystko co nie zginęło ukrywało się przed słońcem.

Ale właśnie odsłanianie się kamienia z pod szmaragdu traw, z pod złota Euforbij, z pod dywanów purpurowego Cystusa i przewiewnego ametystu sycylijskich bodziszek budziło we mnie z godziny na godzinę coraz większą energię.

O, energia wzbierała we mnie jak woda w rzece!

Teraz wreszcie można było w górach Taorminy spoglądać na desenie zupełnie obnażonej skały, wiązać te desenie w zawiłe konstrukcje architektonicznego stylu, przewidywać gdzie skręty sfałdowanych wapieni lub filitów muszą wychodzić z ziemi, a gdzie nazad w niej z powrotem skrywać.

Teraz można było dopiero układać zwycięski plan po dniach cichej, zawziętej pracy, bo teraz dopiero bez przeszkody mogło oko odczytywać pismo hiamowatowe górotwórczych, podziemnych potęg.

O, gdybyście widzieli w jakie obłąkane zygzaki wygięte są dziś w górach Sycylii błota przedwiecznego oceanu Tetydy!

Kiedys przed sponiewieraniem ułożone były poziomo, jak belki greckiej świątyni!

Jakże są dziś stłoczone, jak wygięte, zgniecione, sprasowane!

Jeszcze tydzień temu, plamy czerwonej skały krwawiły się tu i owdzie pośród zielonego morza ogrodów, u stóp fortecznych wapieni! Castel Mola.

Zdawało się, że są śladami głuchej zamierzczej zbrodni, którą czas i deszcze ścierają już zupełnie z oblicza ziemi. Ale nie. Pod gniotącym sarkofagiem wapieni spłynęły teraz krwawe plamy w krzyczący ornament.

Esy i floresy rubinowej skały wyrysowały pośród rozpalonych do białości warowni Monte Venere, złowrogie, przedzikie znaki.

Fantazyja mogła oszaleć!

Najtajniejszy, wewnętrzny styl gór przedostawał się teraz w głąb człowieka.

Oko piło ten styl, jak wino!

Oko wnikało w góry jak w gmach z kryształu lub wody, pieściło ukryte wygięcia kamiennych wnętrzości, ślizgało się po ciężkich zwojach skalnego płaszcza i wgrążając się w coraz większe głębie miazgi górskiej wychodziło znowu na powietrze, gdzieś po stronie niewidzialnego drugiego zbocza, rozłożonego nad dalekim rozpiętym potokiem.

Czy możecie zrozumieć najwewnętrzniejszą rozkosz badacza gór, który posiada tajemnicę odwiecznego stylu wielkich łańcuchów ziemi?

Czemże jest najdoskonalszy architekt, w którego mózgu świta plan, choćby najbardziej misternej świątyni wobec tego architekta, który z chaosu skał ziemskiej powierzchni, rozrytej wodami, przyprószonej śniegiem, powleczonej borami... ukradnie bogom tajemnicę podziemnego budowania!

O, dech zamiera w poczuciu tej samowiedzy, że może się być budowniczym Tatr, zawrotnych Himalajów lub mrocznego labiryntu Tien-szanu, rozpostartego pod zadymioną sreżogą azyatyckich pustyń!

Pod niebem Sycylii wdarłem się w zakłęcia tytanów, synów Gei i na tle dymiącej się Etny, gorejący wóz Fojbosa dopomógł mi do widzenia.

Odtąd też wiem jaka siła mego sztychu. To zatem wiem, że jeśli natura skupi przedemną, gdyby dla zabawki, bezkresne morze nieforemnych głazów, to łańcuchy, które postawię nie będą żadną kupą niesforne na siebie zrzuconych kamieni, ale podobnie misterną budowlą, jak Pelloryhany, skąpane ametystowym oparem dwóch mórz wesoło zbiegających się pod Mesyną!

Tajemne runy, które wystąpiły na taormińskich zboczach w pierwszych dniach maja były zatem płomiennymi znakami owej księgi, do której kołatałem daremnie przez całe tygodnie i od której już odejść chciałem z pochyloną głową i zjadle wewnątrz kłusującą bezsilnością.

Zaprawdę zawrotna to była księga!

Góry oniemiały białym żarem zdawały się być białością w szept obróconego, potwornie wielkiego oka dogorywającego Tytana, którego żrenica — morze opodal — złowrogo ściemniała najczarniejszym granatem.

Co tylko żywe kryło się po domach, szczelinach, dziuplach skał.

Tylko ja jeden, gdyby nieustraszony, obłądny strzelec wychodziłem w góry, niezważając na szalejący dokoła pomór.

Milczenie złowrogie powlekało wierchy.

Skradałem się niepokoiony oślepiającym błyskiem rozpalonych murów.

W głębi mego »ja« rozlegał się nieokiełzany szept — kilka dni takich, a zwalisz się jak Asfodele na ziemię.

O wysiłek zdobywania Prawdy umie gasić wszelkie lęki!

Pracowałem zaciekłe, a zarazem nieskończenie cierpliwie jak ten, który pełen jest świadomości, że stawia kroki nad przepaścią.

Już nie brnąłem jak przedtem przygwizdując radośnie w trawach sięgających po pas, nie wypoczywałem na kwietnych łąkach pośród Euforbij, złocących się poświęcą miodu w pogwarze cichej symfonii trzmieli, nie wpatrywałem się godzinami przed siebie w czarowne widzenie: gigantyczną Etnę wyrastającą z morza szafiru Jońskiego, podnoszącą się

w kryształ powietrza i rozplaszczającą się pod wierzchołkiem szerokim, białym trójkątem nieskalanego śniegu.

Nie uśmiechałem się do słońca i nie schodziłem dla wytchnienia w czerwone gaje oleandrów, w korytach głucho sączących się potoków.

O, Etna skamieniała teraz w potworne widmo! Rozszalałe słońce beżmiłosiernie zdzierało z jej czarnego, rozrytego cielska ostatnie łachmany zbrudzonego śniegu. Zdawało się, że lawowy skrzep wydycha gorące jady!

Wielki wulkan przestawał być świątynią; stawał się złowrogą, zczerniałą, nienasyconą mątwą, która rozsiadła się szeroko zarażając całe wybrzeże Alkantary.

W górach, które przebiegałem czaiło się samo Zło.

Na dole — malarya — pośród oleandrów i liści storczykowych nakrapianych jadowitą rdzą skóry węża, na górze — suchość straszliwa — paląca zbocza tak niedawno jeszcze rozśpiewane.

Czy uwierzycie, że dech zamierał, kiedy trzeba było brodzić przez morze dogorywającej i gnijącej flory, przebiegać po rozpalonych kamieniach po przez atmosferę gorącego powietrza, w której człowiek z jakimś beżświadomym uporem, majączy już tylko i odruchowo wyciąga przed się ręce... pożądam wody?

Jak zwierz w pościgu raniony, z ośleptemi od blasku oczyma, zziąjany, co kilka kroków skrywałem się dla zacerpania tchu pod samotnie tu i ówdzie rozrosłemi karubiami. Przypadałem do starych pni oliwkowych, jeśli rzucały cień, do rozkruszonych murów.

Za chwilę wypadałem znowu, rysowałem, notowałem i skradałem się pod pierwsze znowu napotkane drzewo.

Był to nie pochód tryumfatora, ale złodzieja...

A przecież były to dni krańcowe moich badań w Taorminie, zawodackie godziny zwycięstwa, kiedy w głowie różowieją pierwsze świty złotych syntez po długim szeregu szarych, przepracowanych dni i nieprzespanych nocy.

Ostatniego dnia pobytu na Sycylii wybrałem się w oddalone góry, kilka godzin w głąb lądu. Tylko najwcześniejsze ranne godziny były jako tako znośne. Później, z każdą chwilą żar rozpalał coraz bardziej ziemię.

Powietrze zwiślało nieruchomo na stokach górskich. Leżało odurzone w słońcu na kształt przezroczystego cielska, nieruchomo wylegającego się gadu.

Skoro tylko opadałem ze znużenia, widziałem natychmiast jakby zwolna rozwierające się oka tego gadu.

Do napotkanych potoków przypadałem jak pijawka. Zdawało się, że nie zostawię w korytach jednej kropli wody.

Droga biegła z głębokich fumar pod górę, na granie zbudowane z połyskujących tafli łupków, znowu w dół wzdłuż ścian wapieni.

Tu i ówdzie dęby skupiały się w gaj lub lasek, czasem oliwki szarzały z cicha pośród skąpo rozsianych domostw.

Koło południa musiałem zaprzestać pracy. Zmęczone oczy zaczęły dostrzegać ciemne nici. Skupiały się one bezgłośnie jak dym, po chwili gdyby nic, znowu rozwiewały się.

Skóra na rękach i twarzy pękała. Wola zdawała się zwiąć bezwładnie, jak żółtkę, dogorywające byliny baldaszkowych roślin, które spotykałem na drodze.

Zbliżałem się do wioski Mongiuffi. Zdala już widać było domy, rozłożone na pagórku, pośród winnic pod wysoką, ostrą ścianą. Czerwone dachy domostw śmiały się krzykliwie i wyzywająco. Chcą do ostatka podrażnić słońce — myślałem.

Żar wzbierał grubą białą warstwą przy ziemi. Koło cmentarza Mongiuffi nogi zdawały się tonąć w przejrzystych płomieniach.

W oczach pojawiało się i ginęło coraz więcej złowrogich smug; milczące te fale przepływały bezustannie, gdyby delikatna gaza kołysana gorącym oddechem.

W cieniu kilku szeroko rozrosłych drzew orzechowych wróciłem na chwilę do siebie. Jednak wilgły cień ostrzegął, aby ruszać. Nie wolno stawać — szeptałem uparcie.

Znajdowałem się znowu pośród żaru. Kamienie wężkiej ścieżki prowadzącej w górę ziały ze siebie trucizną obłędnej maligny.

Teraz na każdy krok zdobywać się trzeba było oddzielnie.

Wola sączyła się leniwemi kroplami, gdyby źródło blizkie agonii.

Wlokłem się pod górę noga za nogą...

Słońce krzyczało na wszystkie strony potokami białego metalu, zczerniała plamą prażąc się na oniemiałym niebie, gdyby szalem dołknęty Herakles.

Raniło, kasało, zadawało śmiertelne ciosy...

Ale już dobijałem do pierwszych domów.

Już wchodziłem w wąskie uliczki zupełnie wymarłe.

Wtargnąłem do pierwszej lepszej rudery z kraju, potykając się o kamienie w ciemnej, chłodnej sieni.

Była to osterya, oberża w Mongiuffi.

Na ścianach wisały bardzo stare drzeworyty z zżartemi, złotymi plamami. Wisały w niewybrednych pozycjach. Sufit sklepiony dźwigał się w formie nieco spłaszczonego, saraceńskiego ostrołuku. Pod zwornikiem rozpieął się szeroki stół.

Byłem śmiertelnie znużony.

Głęboka ociężałość haszyszowa zapanowała na tle zmęczenia.

Z uporem pijaka powtarzałem trzy słowa — nie pójdę dalej.

Gospodarz radził przespać się. Muchy teraz nawet śpią — mówił. Przyniósł materac, ułożył go na deskach przy ścianie, zamknął okiennice.

Ogarnęła mnie rozkoszna cisza. Pewność, że nie zagryzie mię słońce, nie zatrąje malarya. Przez chwilę w półmroku sali przyglądałem się uparcie obrapanemu tynkowi saraceńskiego gotyku, potem śpiącym muchom na ścianie.

W głowie półświadomie błąkała się myśl, że jestem w ruderze jakiegoś feudalnego, sycylijskiego barona, którego dyabli wzięli, już dawno, dawno wzięli...

Gwałtowne, nagłe bębnienie zbudziło mię ze snu. Najwyraźniej bębniło przed oknem. Skoczyłem na równe nogi. Z trzaskiem rozwarłem okiennice.

Światło buchnęło do wnętrza, jak blask pękającego szrapnela.

Przez dobrą chwilę oczy mróżyłem.

Mały placyk leżał przedemną jak na dłoni.

Nad głowami bab, chłopów i dzieci, którzy rojnym tłumem cały plac obsadzili unosił się drewniany, suto złożony potwór. Kołysał się jak łódź na wodzie, pochylał to w tę to w ową stronę, płynął w kierunku obdrapanej ściany małego kościoła, wysuwającego się łęklwym frontem naprzód.

Ośmiu tęgich chłopów dźwigało na rozrostłych barkach gruby postument, z którego wyrastała w powietrze sztywnie wyprostowana figura jakiegoś Świętego pod baldachimem, z czterech kolumn kręconych.

Z pod baldachimu błyskały zawzięcie złotem: infuła i pastorał.

Biskup miał oczy ze szkła, w słup obrócone.

Miał czarną twarz jak węgiel, twarz murzyna.

Usta z jaskrawej czerwieni, zęby ze śnieżnej, błyszczącej emalii.

Suknię ze złota, sandały ze złota.

Mały chłopak kroczył opodal. Zawzięcie bębnił. Chłopi z biskupem ruszali w takt za bębniem, chwiejnym krokiem tanecznym posuwając się w stronę ściany kościoła.

O, uginali się pod ciężarem figury!

O, wpijali konwulsyjnie żylaste ręce, gdyby ramiona mąte w przecięzki postument.

Biskup płynął nad głowami niby taran, wprost na mur.

Biskupie rozwalisz mur! Już dotykał się ściany, kiedy rozległ się gwizd.

Równocześnie posąg gwałtownie w tył szarpnięty, zakołysał się i zadrzał, stanął.

Chłopi błyskawicznie obrócili się, przerzucając ciężar z jednych bark na drugie.

Ruszyli znowu przed siebie, ślaniając się i uginając.

Znowu bęben warczał.

Teraz biskup płynął w stronę drugiego muru, przeciwległego, ogrodowego.

O, jakże kołysał się. Jakże szklanemi białkami ocz martwo przed siebie spozierał.

Biskupie — obudź się, uderzysz głową o mur!

Szarpnięto w tył figurą, przerzucono ją z bark na barki. Świst w porę rozdarł powietrze!

Znowu biskup płynął z powrotem w stronę niskiego kościoła. Bęben warczał, monotownie, głupekowato.

Oniemiałem ze zdziwienia.

Myszę sobie: w tej wsi odludnej na straszliwym skwarze ksiądz za pokutę każe się pocić owieczkom. Miła pokuta... dziękuję.

Za ośmiu chłopami, uginającymi się pod wielkim biskupem małe chłopaki niosły małą figurę. Cztery drewniane pręty ubrane w girlandy

papierowe, naśladowały znać wielki baldachim. Chłopczy niosąc miniaturę Świętego na barkach, we wszystkim naśladowali starszych. I oni przysuwali się do muru i nagle odskakiwali.

O, małpeczki małe!

Starsi wpatrzeni w wielkiego biskupa nie zważali na dzieci. Śledzili z biciem serca za każdym poruszeniem ciężkiego, ozłoconego taranu. Tylko dziewczęta na progu kościoła chichotały, inne wspinały się wyżej, aby lepiej widzieć.

Teraz biskup zbliża się do muru. Na odgłos świstawki zawraca i cofa się w tył.

Znowu rusza.

Bęben warczy.

O, jakże chłopcy słaniają się niezgrabnie..!

O, teraz biskupie na pewne mur rozedrzesz i wtargniesz przed sam ołtarz!

Ale figura zawraca w porę, płynie z powrotem ponad falą głów, pobłyskując złotem.

Kościół ocalał, ale mur ogrodowy na pewne zwali się teraz.

Znajdziesz się biskupie wśród winogron!

Wszyscy wpatrzeni są w ciężką figurę.

Uważajcie chłopcy, uważajcie, biskup na pewno spłata figła!

O, biskup uśmiecha się złowrogo. Z rozchylonych warg wyzierają drapieżne, białe zęby.

Baldachim chwieje się na prawo i na lewo, ramiona konwulsyjnie prężą się pod ciężarem postumentu.

A słońce zlewa żar na placzyk. Ale żar nie oślepia jak przed godzinami.

Słońce z kulminacyjnego punktu na niebie, spływa teraz na horyzont.

O, straciło równowagę i nie może całej siły skupiać na zmęczonej ziemi!

Cienie domów wykradają się nieśmiało na placzyk. Jeszcze niektóre szukają oparcia i życia wzdłuż murów, inne rozrastają się buńczucznie i wychylają, załamując się po setki razy w mrowisku ludzkim.

Fala głów kołysze się na placu. Z okna spoglądam na straszłą figurę murzyna, złotem oblaną.

Jakieś niezwykłe, fantastyczne turnieje odbywają się w tej górskiej wiosce z drewnianym posągami.

Uważajcie chłopcy: rozwali się mur!

Gwizd.

Nie rozwali!

Chwyciłem za młotek i notatki. Przygotowałem mapy do dalszych badań. Pożegnałem się z gospodarzem, rzuciłem jeszcze raz okiem na placzyk przed domem, na wielkiego biskupa dorosłych i małego biskupa dzieciaków, na dziewczęta pod kolorowymi chustami, na ziajanym »grzeszników«, na przykucnięty lekliwie, prawie drżący mur kościoła i ruszyłem.

Przez winnice szła droga w dół, potem przez potok i znowu pod górę na zbocza łańcuchów przeciwległych. Wielkiem łukiem skręcałem

w stronę wybrzeża morskiego i Taorminy. Za mną włączyło się warczenie bębna, jak bzykanie nieznośnego chrząszcza. Od czasu do czasu krzyk ludzi i świst przerywał monotony dźwięk bębna.

Czyżby lud w Mongiuffi oszalał pokutując? Natrętnie wracał przedemnie obraz biskupa. Potem coraz słabiej głosy dopływały, wreszcie całkiem zamilkły.

Znajdowałem się wysoko nad doliną. W dole rozpieniony potok przeskakiwał przez głazy, pienił się, jak taran bił o wysokie progi, zawracał w ruchu wirowym pod drugą ścianę i natychmiast staczał się obłądnie dalej.

Szalej wodo! Uspokoisz się niebawem, bo na dole są ciche aromatyczne lasy cytrynowe, a potem zaraz morze!

Góry tonęły w ametystowej gazie. Słońce stało się złote, przestało być białe. Doliny na przeciwległym zboczach otwierały się jak wrota pałacu Minosa w szeroką miążgę Monte Venere; na zboczach czerniały graniaste cienie, gdyby wielkie, rozłożone płaszcze na słońcu.

Wysoko drogą napowietrzną, ponad poświętałą złotą w dole, pona szumem oszalałej rzeki, wpatrzony w dalekie horyzonty morza błękitnego posuwałem się powoli.

Byle dolecieć już do brzegu! Byle skąpać się w pomroku żywej fali, nasycić wilgłym, zdrowym zapachem alg morskich!

Robiłem ostatnie notatki. Napotkane skały zaznaczałem na mapie. Odczytywałem od czasu do czasu altymetr, kontrolowałem przebyta drogę.

Ametystowy pejzaż leżał przedemną, jak masa ulana z weneckiego, klarownego szkła. Delikatne, złociste nici unosiły się w powietrzu.

Rozumiałem wszystkie tajemnice rozżartych dokoła skał. Wiedziałem co oznaczają wapienne pasy, te białe wstążki opasujące ametyst filitów.

Rozumiałem co znaczą w tej miążdze.

Rozmawiałem z niemi. Do wierchów rozpierających się setkami rogów mówiłem: Widzicie tajemnicę waszą podglądna! tysiącooki Argus!

Ja jestem Argus.

Z gór Gallodoro schodziłem już potem do morza na pół przytomny. O niczem już nie myślałem, nie mogłem myśleć.

Słońce zachodziło gdyby rozpalony metal.

Gorące barwy spływały za słońcem, gdyby krwawy, niedostępny orszak; kopała nieba stawała się błękitną, kryształową.

Robiło się gwaro i chłodno. Z dołu przyptywał miękki zapach kwiatu pomarańczowego i ostry zapach morza. Na niebo wytoczył się księżyc, przez kilka chwil błądł straszliwie, zielonkavo się mienił.

Byłem śmiertelnie znużony. Ostatnie godziny szedłem zupełnie na oślep.

Odruchowo szukałem drogi i nie gubiłem się. Instykt najgłębszy — Anioł stróż — za mnie pracował, on to wchłaniał w siebie tę srebrną noc majową skąpaną czarem śpiewnego rytmu morza, którą później we snach widziałem, jako przesłodka, pachnący obraz wśród nieuchwytnie grających fal srebrnej muzyki.

Jeszcze dwieście metrów, z nad morza podnieść się trzeba było po kamienistej ścieżce do Taorminy. Włókłem się pod górę, do domu...

Dostrzeżono mnie zdaleka. Przywitano krzykami radości. Gospodyni była mocno zaniepokojoną. Sycylianie siedzą teraz w domach — mówiła — a Pan »forestiere« śmie wałęsać się w tutejszych jadowitych górach. Pan myśli, że to ujdzie bezkarnie!

Całe towarzystwo siedziało na tarasie, wśród chłodu nocy.

W dole morze tańczyło błyskami srebrnego, spokojnego marszu. Delikatne liście migdałowych drzew chwytają powietrze po tyłu godzinach żaru. Heliotrop odurzał.

Taormina rysowała się w księżycu, jak bajka czarodziejska, nabita drogiemi kamieniami.

Ktoś grał niedaleko na flecie, cicho, upajająco...

Calutki dzień milczałem.

Teraz opowiadałem. Mówiłem o złocistym murzynie. O barokowym, przeładowanym baldachimie, o białych zębach, czarnej skórze, o dzieciakach z małym biskupem.

Miejscowość jest z pod ciemnej gwiazdy — konkludowałem. Dachy domów krwawią się, jak oszalałe maki. Średniowieczny klecha gnieździ się rozkosznie w górskiej wiosce i wyciskuje z chłopów spełnione grzechy, jak oliwę.

Ale przyjaciel mój, Orlandi, Sycylianin słuchał zrazu spokojnie, potem wzburzył się cały.

Co za bajki — krzyknął.

Spojrzałem na niego zdziwiony. Był zawsze nieobliczalny. Jeszcze przed kilku dniami oprowadziłem go po górach Locarella pokazując ważne odkrycia. Myślałem, że odurzę go jako geologa, fantastyczną architekturą ojczystej wyspy. Ale on ledwie raczył spoglądać na kamienie. Odwracał się od skał, przechylał się w pół i wykrzykiwał co chwila rozpromieniony wskazując na brzeg i morze.

E bella la patria mia?

O, warto było spoglądać na beryle, akwamaryny, chryzolity, które oprawione ciemnym szafirem, tęczały pośród fali morskiej, niedaleko topazowego brzegu!

A teraz mówił.

To nie żadna pokuta za grzechy. To zabawa. Dziś jest dwunastego maja, zatem święto Pankracego, patrona Sycylii. Murzyn ten był *primus Siciliensium episcopus* i przybył ze Wschodu, czy tam z Afryki — nie wiem dobrze.

Ponieważ upały afrykańskie teraz nadchodzą, zatem biskup staje się symbolem nadchodzącego żaru. Lud zaś pragnie wiedzieć, czy żar będzie wielki.

Lud twierdzi, że gorąco z Afryki jest w stanie rozkruszyć najsilniejszy mur kamienny. Bierze zatem biskupa na barki i rusza w stronę domów i murów.

Biada jeśli biskup rozwali mur. O, napewne przyjdą wtedy straszliwe żary, a razem choroby, gorączki, posusze, katastrofy elementarne!

Ecco, la cosa, stà così, signore mio.

Oczy zamykały się wbrew woli. Ani rąk, ani nóg, ani głowy nie czułem.

Poszedłem spać.

A przecież była taka czarowna noc majowa. Tak pachniał he-liotrop. Morze w dole tak słodko, czarująco błyszczalo, tańczyło jak Salome. Do tańca grał flet, pośród ogrodów na zboczu.

Ostatnie obrazy, które błąkały się we mnie były słodkie jak sny...

Greco, święta Greco, tak lud Twój kiedyś się bawił.

Po tem rzucałem się w nocy.

Stałem na straży cudownego ogrodu. Byłem białym, olśniewają-cym murem.

Broniłem delikatnych zielonych gałązek winnej macicy, od natrę-tnych kóz.

Na zielonych gałązkach miały dojrzeć słodkie grona. Ja byłem stróżem dojrzewającego soku.

Słońce uśmiechało się do mnie, jak do swego dziecka.

Potem nagle przestało się uśmiechać.

Zaczęło wirować na niebie obłędnie, rozjątrzone i całe spienione.

Zaczęto ciskać strzały, gęstym gradem.

Zadrżałem. Słońca twarz zczerniała.

To Hera podzęgała słońce do coraz straszliwszego szału.

Ktoś krzyczał: Herakles zabija swoje dzieci!

Ktoś krzyczał jeszcze; Herakles szaleje, zamienia się w czarny potwór!

Ujrzałem ciemną twarz biskupa, wyzierającą z pośród krzyczącego złota.

Przez rozwarte, rozkrwawione usta, jakby przez otwór ciemnego pieca ział straszliwy żar na wszystkie strony. Uginałem się z gorąca.

Nagle biskup zaczął biedz w moją strone, wywijał nad sobą grubą, złotą maczugą.

Serce zamarło we mnie,

Cofnął się na odgłos przejmującego, pobliskiego świstu.

Odetchnąłem na chwilę.

Znowu biskup leciał nã mnie. Bęben jakiś warczał: patrzcie He-rakles mur rozwali, cyklopowy, mikeński mur.

O, tak w kółko przez całą noc, aż do białego rana bęben warczał gwizd się rozlegał.

Biskup wracał, znowu oddalał się.

Muru nie rozwalił!

Mieczysław Limanowski.

370

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 7A
Tel. 26-68-63



F 4749

F
4749